

Poniżej znajdują się fragmenty wybranych recenzji spektakli teatralnych w reżyserii Joanny Lewickiej.

Kraina uśmiechu (2019)

Sen o Dalekim Wschodzie

Na scenie Teatru Muzycznego w Lublinie „Kraina uśmiechu” **rozkwitła pełnią swojego muzycznego i fabularnego piękna**, niczym kwiat lotosu. To trudna sztuka w obecnych rozpedzonych czasach, gdy reżyserzy dwoją się i troją by z uporem maniaka przybliżyć operetkę współczesnemu widzowi, wymyślając współczesne, plastikowe inscenizacje i wplatając do dialogów dowcipy rodem z kabaretu niskich lotów. **Na szczęście, reżyserka Joanna Lewicka postawiła na klasykę. Podeszła do melodramatu Lehara z miłością i dbałością o każdy najmniejszy detal. Pozwalając widzowi oderwać się od „tu i teraz” i odbyć podróż do innych światów.** Światów, których już nie ma, a jednak wciąż urzekają bajkowością scenerii, salonowymi manierami, zapachem egzotyki, nienachalną teatralnością i subtelnością. Świat „Krainy uśmiechu” jest takim, w którym każdy z nas chciałby się znaleźć, choć przez jeden dzień swojego życia.

Wiedeń na lubelskiej scenie jest oszczędny, lecz wystarczający. Bo to soliści, chórzyści i balet stanowią żywą scenografię. **W tle interakcji pomiędzy głównymi bohaterami wciąż coś się dzieje. Mamy więc akrobatów, muzyków, lub przechadzających się jak w półśnie, innych bohaterów. Ruch sceniczny odgrywa tu niesłychanie istotną rolę, buduje pierwszy i dalsze plany, a także tworzy nastrój każdej z odsłon.** Dodatkowym atutem są piękne, czasami wręcz spektakularne (jak w przypadku Baronowej) kostiumy. One w zupełności wystarczają, a na zielonej murawie, spowitej delikatną mgłą, prezentują się niczym plan filmowy z „Trędowatej” lub „Nocy i dni”. Zdecydowanie większym przepychem odznaczają się Chiny w drugim i trzecim akcie. Choć i tutaj **najistotniejszą rolę odgrywa choreografia, perfekcyjnie zsynchronizowany z muzyką balet oraz budujące klimat dalekowschodniego orientu światła.** Papierowe lampiony, wachlarze, złote kombinezony baletu, lśniące, powłóczyste szaty solistów – wszystko to odbija się w lustrzanej podłodze, tworząc **zapierający dech w piersiach efekt** tafli jeziora, po którym stąpają bohaterowie. To z mojej strony oczywiście tylko marna próba ubrania w słowa tej **niezwykle plastycznej oprawy wizualnej spektaklu.** Spektaklu, który **urzeka kreatywnością rozwiązań scenicznych** – suma summarum prostych, lecz niezwykle efektownych. **Aż zapragnęłam zobaczyć kiedyś, w przyszłości, podobnie zrealizowaną „Turandot”, bo na takie Chiny opera Pucciniego z pewnością by zasługiwała.**
[...]

Beata Fischer
beatafischer.com, 27 marca 2019

"Kraina uśmiechu" - kawał porządnej sztuki

Różnie wiodło się w ostatnich latach Teatrowi Muzycznemu w Lublinie. **Najnowsza premiera każe jednak sądzić, że momenty kryzysu zespół ma już wreszcie za sobą. „Kraina uśmiechu” w reżyserii Joanny Lewickiej ma w sobie wszystko, czego należałoby oczekiwać od dobrej operetki** – od świetnie zaśpiewanych partii (m.in. rewelacyjni Anna Barska i Sławomir Naborczyk) po **doskonały humor**. Słowa uznania należą się Marcie Góźdz (Elbruzda), która odpowiadała za kostiumy i scenografię. Chiny w jej wykonaniu to jeden z piękniejszych obrazów, jakie kiedykolwiek widziałem w teatrze. Z ogromną przyjemnością ogląda się też tancerzy, świetnie odnajdujących się na scenie w azjatyckich realiach.

Tomasz Kowalewicz
Gazeta Wyborcza, 31 maja 2019

Teatr wyzwolony: klasycznie i niepokornie

[...] Pomysł ściągnięcia do operetki **młodej, ambitnej i zadziornej reżyser z pomysłami, Joanny Lewickiej – okazał się strzałem w dziesiątkę**. Naraz zespoły, które od dłuższego już czasu budziły niepokój widzów, czy poradzą sobie z czymkolwiek niebędącym składanką przebojów, przypomniały sobie, że nie tylko umieją grać, śpiewać, tańczyć, ale także radzą sobie ze **złożoną materią dramatyczną, którą z libretta wykrzesła pani reżyser**.

To się po prostu bardzo dobrze ogląda (i słucha), choć w efekcie tworzy morderczą dawkę blisko trzyipółgodzinnego przedstawienia. A to ogromne wyzwanie dla chóru i baletu, bo twórcy spektaklu postawili na minimalizm dekoracji i scenografii, a więc to na czynniku ludzkim spoczywa konieczność całkowitego przykucia uwagi widza. Ale i chór, w świetnych wejściach zbiorowych, jak i balet, **znakomicie poprowadzony** zwłaszcza w suitach, radzą sobie z tym zadaniem doskonale. **Po raz pierwszy od dawna „gra” też scena** naszego lubelskiego Teatru, której głębia nie była dotąd należycie wykorzystywana. Wystarczyło trochę **wizji artystycznej**, dużo ciężkiej pracy pod kierunkiem kierownika chóru, prof. dr hab. Grzegorza Pecki i okazało się, że można odnieść sukces. Można i to dużo więcej. **Znakomicie broni się inscenizacja, nowoczesna, co jednak nie razi w zderzeniu ze ździebełko konserwatywną muzyką. Są pomysły, które wzruszają** (znakomicie refleksyjne wprowadzenie małej Lizzie), są **momenty do śmiechu** (wejścia niezawodnego Andrzeja Witlewskiego jako Fu-Liego), są **zaiste imponujące**, jak cała konwencja złotego kaftana/płaszczka, zastępującego całą niemal sceniczną dekorację na początku II aktu. [...]

Po latach zawirowań i nadmiernej chyba ostrożności, lubelski **Teatr Muzyczny naprawdę wraca do lubelskiej publiczności**. Daje jej to, co ta najbardziej lubi, uznany tytuł operetkowy, ale nadaje mu jednocześnie szczerą wizję i upiększa gamą talentów. Czego chcieć więcej?

Nowy Tydzień, 28 marca 2019

"Kraina Uśmiechu", która łamie serca

„Kraina Uśmiechu” nie rozsadza konwencji, nie wplata niczego, czego nie ma w oryginale, jest mu wręcz nadzwyczaj wierna. Wspólnie z Grzegorzem Kondrasiukiem **Joanna Lewicka poszukiwała sensów u źródeł niemieckiego tekstu**. Zaowocowało to m.in. wyeksponowaniem wiedeńskiego Prateru, którego atmosferę oddaje pierwszy akt. Wesołe miasteczko, przestrzeń dziecięcych marzeń, stanowi punkt odniesienia dla spektaklu. Liza, zakochana w chińskim księciu, jest cały czas również małą dziewczynką na bujanym koniku, czyż jako dorośli przestajemy kiedyś naiwnie marzyć? Baśniowy Orient wyczarowany przez scenografię i kostiumy Marty “Elbruzdy” Góźdz to kraina umowna; każda, do której się tęskni.

Zjawiskowy, „żyjący” ogród czy ceremonia nadania złotego kaftana to **sceny, które na długo zapadają w pamięć dzięki sile kolektywu**. Nieszczęśliwi kochankowie Liza i Su-Czong (Anna Barska i Sławomir Naborczyk) oraz Mała i Gucio (Paulina Janczaruk i Łukasz Ratajczak) nie pozostawiają widza obojętnym, a przez wichry łez i namiętności z nutą egzotyki prowadzi orkiestrę Przemysław Fiugajski. **I choć wszyscy, łącznie z publicznością, kończą ze złamanym sercem, to skrycie to kochamy**.

Sylwia Hejno

Kurier Lubelski, 1 kwietnia 2019

Operetka w nawiasie

[...] Joanna Lewicka zrobiła **spektakl, który bardzo wyraźnie odnosi się do współczesnych problemów społecznych. Choć reżyserka pozostaje wierna oryginalnemu tekstowi, udało się jej uwypuklić najbardziej wrażliwe kwestie: zderzenia kulturowego, niemożności porozumienia się ponad podziałami oraz pozycji kobiety w społeczeństwie – różnej w zależności od kultury**. Od początku drugiego aktu kiełkowało we mnie nieprzyjemne odczucie spowodowane sposobem, w jaki mężczyźni traktują Lizę i Mi (młodszą siostrę Su-Czonga). Zresztą dramat młodej Chinki został oparty na jej pragnieniu wyrwania się z konserwatywnego dworu i ucieczce do cywilizowanej Europy, oraz jednoczesnej niemożności opuszczenia ojczyzny.

Tym, co wyróżnia „Krainę uśmiechu” na tle innych produkcji Teatru Muzycznego, jest warstwa wizualna. Scenografia została zredukowana do minimum, rekwizyty praktycznie nie występują. Kostiumy zaprojektowane przez Elbruzdę to **przyjemne dla oka połączenie żywych kolorów, bogatych dodatków i prostoty kroju. Natomiast największe wrażenie robi choreografia**. Tancerze Teatru Muzycznego odkąd pamiętam, mieli kłopot z synchronizacją ruchu w scenach zbiorowych. Zdaje się, że zostało to w końcu zauważone, a nawet **twórczo wykorzystane**. [...] W większości scen każdy ma inną partię taneczną. Dzięki temu nie tylko **zniwelowano poczucie dysonansu**, ale dodatkowo wprowadzono **ciekawe urozmaicenie ruchu scenicznego** – mimo skromnej scenografii miałam wrażenie **całkowitego wypełnienia dostępnej przestrzeni**.

Ewa Jemioł

Dziennik Teatralny, 13 kwietnia 2019

STRYJEŃSKA. Let's dance, Zofia! (2018)

Raz kozie dancing

[...] [T]wórczynie **unikają oczywistych skojarzeń** związanych z ich bohaterką. [...] Ta rwana, nieco chaotyczna **narracja znakomicie oddaje** stale obecny w życiu Stryjeńskiej niepokój, jej tęsknotę za bliskością, rodziną, swojskością, przy jednoczesnym ciągłym odrzucaniu tego wszystkiego i składaniu tych wartości na ołtarzu sztuki.

W tle tej opowieści dzieje się wielka historia. Stryjeńska – choć na pozór jest odwróconą od świata, skupioną na sobie artystką – **staje się symbolem doświadczenia XX wieku, tyle że w mikroskali jednostkowego życia.** [...] **Współczesny widz z początku XXI wieku łatwo może się odnaleźć** w jej stałej pogoni za zamówieniami, kredytami, zasiłkami, a także w nieustannym podróżowaniu, poczuciu niezakorzenia – jest bowiem Stryjeńska także swego rodzaju „biegunem”, by odwołać się do tytułu powieści Olgi Tokarczuk.

Ten aktualny wymiar podkreśla język przedstawienia, który dużo zawdzięcza oryginalnemu słownictwu i gierkom językowym samej malarki – zadziwiająco bliskim chociażby dzisiejszemu nadużywaniu anglicyzmów (na przykład rok 1936 podsumowywała stwierdzeniem „Sytuejszyn zaczyna być groźna”). **Podobnie współcześnie brzmi muzyka skomponowana przez Christopa Coburgera, który, nieobarczony skojarzeniami łączącymi Stryjeńską z polską kulturą ludową, skupił się przede wszystkim na tym, by jak najlepiej przy pomocy warstwy brzmieniowej zilustrować przemiany stanu ducha bohaterki**, nie odwołując się do nasuwających się w oczywisty sposób na myśl melodii kujawiaka czy oberka.

[...] Z ułamków scen, urwanych w pół zdań, filmowych migawek **wyłania się portret** szalonej, tańczącej Zofii – artystki, która nie potrafiła iść na kompromisy i nie mieściła się w schematach, próbowała rozpaczliwie pogodzić karierę z macierzyństwem, doświadczała losu zdradzanej żony i kochanki, Polki szukającej swego miejsca w Europie, uciekającej z kraju i jednocześnie za nim tęskniącej. [...]

Gdy w finale Landowska wkłada na głowę kolorowy wianek, chwyta się za biodra, wyśpiewuje czysto i emocjonalnie piosenkę ludową – pierwszą i jedyną w całym spektaklu – jednej z pań siedzących obok mnie wyrwało się westchnienie: „**Tak, to o mnie...**”. **Trudno o lepsze potwierdzenie, że losy szalonej Stryjeńskiej stają się w spektaklu Lewickiej czymś więcej niż tylko barwną obyczajową anegdotą z minionego wieku.**

Jarosław Cymerman
Pismo TEATR, nr 2 / 2019

Zatańczmy z niezwykłą artystką: pragnienia i ich losy w przedstawieniu o Stryjeńskiej

Miłość za miłością, nałogowa zazdrość, seryjne zdrady, studia w przebraniu męskim, nędza, porwanie, klinika psychiatryczna, syfilis, wojna, obóz dezynfekcyjny, długi, wyobcowanie, przedwczesna śmierć syna - te losy malarki i graficzki Zofii Stryjeńskiej **odżywają na scenie w spektaklu "Stryjeńska. Let's Dance, Zofia"**.

To rewelacja teatralna. I życiowa. Biografia Stryjeńskiej wybucha tu dzięki trzem kobietom: reżyserce Joannie Lewickiej, aktorce Dorocie Landowskiej i dramaturżce Annie Dudzie. Ich Stryjeńska **przewartościowuje istnienie. Przed nami seria obrazów i tekstów, pieśni i wideo, flashbacków z koszmaru XX wieku i wierszy. Działa się na nas – widzów – dowcipem, a zarazem duchem.** Bez owego esprit nie zdzierzylibyśmy opowieści rozpaczy: śmierć zawsze przedwczesna i zawsze niewypowiedziana.

Widzowie często śmieją się z ironii losu, z siły komicznej aktorki, która roztacza także żal. **Życie łaskocze i smaga nas ze sceny.** Oto egzystencja – Stryjeńskiej, Lewickiej, nasza. **Identyfikujemy się** z postacią daleką, a tak bliską każdej, każdemu. Chcemy stać się Stryjeńską, choć wzdramy się przed bohemą, biedą, chorobą, nadwrażliwością, stanami granicznymi.

Stryjeńska zdaje się swojska poprzez kujawiaki w jej sztuce, a tak naprawdę pozostaje wiecznie obca. **Reżyserka lekceważy folklor, dzięki czemu spektakl nie wpisuje się w nacjonalizm.** Przeciwnie, **przedstawienie opiewa uniwersalną egzystencję i otwiera się na świat.** [...]

Przedstawienie opiera się na dramacie Anny Dudy „Let's Dance, Zofia!”, na książce Angeliki Kuźniak „Stryjeńska. Diabli nadali” i na pamiętnikach malarki „Chleb prawie że powszedni. Kronika jednego życia”. Ale przede wszystkim **na energii psychicznej reżyserki**, aktorki i dramaturżki, owych **wulkanów wyobraźni.**

Reżyserka Lewicka pokazuje w wideo okrucieństwa przeszłości. Ale także nasz sadyzm, który trwa: nienawiść do uchodźców, kosmopolitek, mniejszości. [...]

Takie **ekstremalne stany uczuciowe** tworzone są w przedstawieniu, dzięki czemu staje się ono **arcydziełem prawdy psychicznej i historycznej.** [...]

W rejestrach metafizycznych język Stryjeńskiej jest mięsisty. Jej wspomnienia **poruszają nas do głębi.** Jej ciałodusza krzyczy o rozkoszy i cierpieniu, o bólu i radości. Jest przy tym i żeńska, i męska, androginiczna. [...]

Wszyscy jesteśmy Stryjeńskimi: włóczędzy, nomadzi, wygnańcy. [...] **Potrzebujemy spektakli bez hurrapatriotycznego zadęcia: intymnych, szczerych, rozdrapujących rany.**

Dr. hab. Tomasz Kitliński

Wyborcza.pl Lublin, 5 grudnia 2018

Stryjeńska. Let's Dance Zofia! Czyli prawo do bycia sobą

[...] wraz z [ze Stryjeńską] zaczynamy podróż po miejscach, w których żyła, kochała, cierpiała, a w tle, na ekranie widzimy te miejsca w czasach współczesnych. Monachium, Paryż, Genewa. Kobieta-artystka w wiecznym rozdarciu między mężczyznami, z którymi usiłowała stworzyć dom, a potrzebą odizolowania, samotności w czasie gdy tworzyła. **Opowieść o barwnym ptaku, który marzy o wolności, chce żyć po swojemu i śpiewać własną pieśń.** Walczy o to, ale częściej przegrywa niż wygrywa. [...]

Stryjeńska to artystka z nerwami na wierzchu, pełna emocji i wzburzeń. Jak kocha to do zatracenia, jak pracuje to na zatracenie. I taką Stryjeńską przedstawia nam Dorota Landowska. Gra jak nawiedzona, płynie niemal w powietrzu mówiąc o miłości i sztuce, by zaraz potem wpaść w otchłań depresji, swoich strachów czy szaleństwa. I wciąga widzów w tę podróż po własnym życiu, po własnych uczuciach i emocjach. **A my siedzimy cichutko, wtopieni w krzesła, rozedrgani emocjami, zatrzymując oddech. I dopiero po skończonym spektaklu podziwiamy małą a wielką kobietę.** I Stryjeńską i Landowską. Jedną za śmiałość w dążeniu do życia po swojemu, drugą za umiejętność pokazania jej. Piękna gra. Piękna! Polecam.

Notatnik Kulturalny, 24 marca 2019

"Let's dance, Zofia!". Stryjeńska. Landowska. Obłęd, sztuka i niezłomność ducha

Monodram w reżyserii Joanny Lewickiej, który powstał w stulecie zdobycia przez kobiety praw wyborczych jest **opowieścią o osobistej drodze pod prąd.** Przecinanej pasjami, namiętnościami, wewnętrznym rozdarciem między sztuką i wolnością ducha a społecznymi normami i praktycznymi wymogami życia. Stryjeńska [w tym spektaklu] to **więcej niż wskrzeszenie na scenie jednej z najbardziej znanych artystek dwudziestolecia międzywojennego.** [...]

Stryjeńska przebierała się za mężczyznę, by studiować, ganiała za ukochanym z rewolwerem, podróżowała, tworzyła i klepała biedę. Na scenie widzimy, że chce przede wszystkim jednego: żyć pełną piersią, by życie było jak szalony taniec. Właśnie za tę potrzebę niezależności, tak łatwo rzucić pogardliwie „wariatka”... Dla Stryjeńskiej, dzięki interwencji męża, skończyło się to, na szczęście przejściowo, w zakładzie dla obłąkanych. **Monodram, spojrzenie na fascynującą postać artystki, jest inspiracją, by niezłomnie tańczyć swój wewnętrzny taniec, jeśli trzeba, nawet na przekór wszystkiemu.**

Sylwia Hejno, Kurier Lubelski, 27 kwietnia 2019

Psiakref albo tryumf woli

[...] Istnieje zapotrzebowanie na narodowe bohaterki, które mogą przysłużyć się walce o wartości feministyczne. Jej front przebiega również (a może zwłaszcza) przez teatr. [...] **Joanna Lewicka to reżyserka, która konsekwentnie podejmuje tematy feministyczne, obce jest jej jednak ideologiczne zaciętrzewienie.** Monodram o Zofii Stryjeńskiej kolejnym tego dowodem. [...] Opowiadając o Stryjeńskiej, Lewicka podejmuje szereg aktualnych tematów z feminizmem i gender na czele. Przedstawia opowieść o kobiecie, która chce oddychać pełną piersią. Tańczyć w codzienności jak uwielbiany przez nią Aleksander Sacharow na scenie. Życi i tworzyć. W oderwaniu od polityki i ideologii. W bliskości obiektów swych gorących uczuć, których sylwetki znakomicie pasują do tanich romansów, ale w prawdziwym życiu stają się ciężarem tyleż barwnym, co banalnym i trudnym do zniesienia. [...] Perypetie damsko-męskie nie są jednak najtragiczniejsze. Stryjeńska walczy o swobodę z rozmachem, który zadziwia. [...]

[...] Czytając Stryjeńską, łatwo wyobrazić sobie ekscentryczną, ekstrawertyczną i nadpobudliwą wariatkę, tymczasem Landowska buduje postać wstrzemięźliwie. Stajemy oko w oko z kobietą, która **największe nawet nieszczęścia opowiada lekko i ze swadą, niczego przy tym nie banalizując ani nie ośmieszając.** Co nie znaczy, że dominuje ton serio. Landowska **znakomicie wydobywa humor** z gorących od temperamentu wersów. Być może u źródła zjawiskowego stylu Stryjeńskiej tkwi potrzeba estetyzacji. **Jej artyzm poznajemy w spektaklu wyłącznie za pośrednictwem języka.** [...]

[...] Stryjeńska nieustannie tęskni do przeciwieństw. Do pełnej wolności twórczej oraz obyczajowej, a jednocześnie do rodzinnego domu, którego nie jest w stanie zbudować, tułając się po hotelach Europy w poszukiwaniu zarobku i schronienia przed wierzycielami. **Bezдушna ekonomia jest w jej biografii jak potężne betonowe ściany** w podziemiach Centrum Spotkania Kultur. Gmach ten nie bez przyczyny zagrał siedzibę Służby Bezpieczeństwa w dystopijnym serialu *1983*. Surowe wnętrze zjada niewielką scenę, na której powołano ciasny i zagracony pokój. **Rodzi się pytanie, czy sam fakt jego zaistnienia w tej bezlitosnej rzeczywistości nie jest zwycięstwem?**

Dominik Gac
teatraly.pl, 21 grudnia 2018

Stryjeńska. Let`s dance, Zofia!, czyli spektakl z chochlikowym znakiem jakości!

[...] **Magia!** Czarownica, szamanka pędzla i pióra, kobieta, która potrzebowała samotności, by tworzyć i bliskości drugiego człowieka, by istnieć. Zofia Stryjeńska, bohaterka monodramu „Stryjeńska. Let`s dance, Zofia!”, **wpuściła nas do swojej duszy**, poranionej, płonącej, pełnej zakamarków. Podróż ta, tak nieoczywista, okazała się doznaniem nad wyraz ciekawym. **Spektakl w reżyserii Joanny Lewickiej ma tę niewątpliwą zaletę, że od pierwszej chwili wciąga i hipnotyzuje. Szokująco współczesny i zarazem wybitnie klasyczny, mógłby być oklaskiwany równie burzliwie w Teatrze Studio, w Teatrze Narodowym, a nawet jako widowisko uliczne. Wielka rzecz! Dorota Landowska pruje po oceanie artystycznych uniesień wciągając nas w wir zdarzeń, wspomnień i emocji. Ten spektakl się po prostu czuje, nie ogląda.** [...]

[...] W tej konkretnej układance **wszystko jest na swoim miejscu**: sekwencje filmowe (pomysł na ich realizację też), szarpiąca duszę muzyka, nieskazitelnie wyśpiewana finałowa pieśń [...], układ i wykorzystanie sceny, rekwizyty, wreszcie sama aktorka.

[...] Kilka artystycznych wrażliwości, kilka spojrzeń na świat i sztukę, które kreatywnie połączyły siły, by opowiedzieć nie tylko o wielkiej artystce sprzed wieku, ale o tym, jak zmieniał się w jej czasach świat, [...], pokazać kluczowe dla niej miejsca także z dzisiejszej perspektywy. Garść punktów zapalnych, które zmieniły tę kobietę, jej otoczenie, nas samych dzisiaj. [...] **To teatralne zaproszenie do dyskusji o wpływie okoliczności zewnętrznych: polityki, społeczeństwa, rodziny na proces twórczy zmusza do zastanowienia się, jak wielkim wyzwaniem jest bycie artysta w każdych czasach.** Jak poszukiwanie dróg wiele zmienia w codzienności i jak bardzo ta codzienność wszystko utrudnia.

Tekstowo jest bajecznie. Monodram oparty jest na dramacie Anny Dudy, **scenariusz zaś jest wspólnym dziełem reżyserki Joanny Lewickiej i aktorki Doroty Landowskiej.** [...] Tak to jest wyreżyserowane i tak zagrane, że w postaci Stryjeńskiej jest miejsce i na jej emocje i wrażliwość Doroty Landowskiej. [...] Na kilku płaszczyznach dzieje się to, co tworzy obrazy, oceny, polemiki. A wszystko **w atmosferze, którą momentami określiłbym jako magiczną.** Wtedy zapomina się, gdzie się jest i z kim, przenosi się gdzieś daleko i zaczyna rozumieć kogoś tak nam innego. Nieczęste teatrze.

Reżyserka Joanna Lewicka konsekwentnie i mądrze uczyniła z tego monodramu rodzaj hipnotyzującej podróży, chwilami wręcz tanecznej, momentami szaleńczo dramatycznej. To taniec po mapie zmieniającej się Europie, po normach społecznych, konwenansach, wreszcie po szaleńczej, obłąkanej samotności. Podróże samej Stryjeńskiej stały się inspiracją do tego, by twórczyni spektaklu same pooddychały powietrzem, którym dość dawno, ale jednak, zachłystywała się malarzka, [...] [stanęły] w tym samym miejscu, ale przecież tak bardzo zmienionym w innym czasie. [...] Ślady tych podróży pojawiają się również na scenie – i to jest szalenie ciekawe. [...] **Wspólnym sukcesem wszystkich osób zaangażowanych w to przedstawienie jest fakt, że ta historia „żyje”, pulsuje namiętnościami, wydaje się być tak autentycznie uniwersalna, jakby dotyczyła kogoś, kogo znamy „tu i teraz”.** Wartość naszego spotkania ze Stryjeńską polega na zrozumieniu bezkompromisowości życia artystki i powtarzalności tego schematu.

Włodzimierz Neubart
Chochlik Kulturalny, 31 stycznia 2018

Nie warto się wstydzić miłości: Stryjeńska. Let's dance Zofia!

Po przedstawieniu „Stryjeńska. Let's dance Zofia” [Zofia Stryjeńska ma twarz Doroty Landowskiej. Ta wybitna polska aktorka we współpracy z Joanną Lewicką](#) i Anną Dudą wzięła na swój aktorski warsztat skomplikowaną, niejednoznaczną, szaloną postać wielkiej, polskiej malarki. [...]

Przedstawienie tria: Duda, Lewicka, Landowska to [nowe otwarcie w polskim teatrze. Autorki przygotowując się do projektu podróżowały śladami Stryjeńskiej po całej Europie](#). Odwiedziły Niemcy, Francję, Szwajcarię. Chodziły ścieżkami malarki, patrzyły na świat przez jej pryzmat. Próbowaly odnaleźć paryskie zapachy, które czuła, chłód murów akademii, w której się uczyła, chropowatość ściany domu, w którym malowała i światło, które wlewało się do jej szwajcarskiego mieszkania. [Te podróże znajdują odzwierciedlenie w przygotowanym przez autorki post-monodramie \(nowej formie teatralnego wyrazu\). Czuć, że to spektakl zrobiony z miłości do malarki.](#) [...]

Tomasz Sobierajski
Elle Man, 30 stycznia 2020

POLSKIE RADIO JEDYNKA

<https://www.polskieradio.pl/7/6350/Artykul/2224231,Stryjenska-Lets-dance-Zofia>

Wywiad z aktorką Dorotą Landowską o spektaklu i pracy z Lewicką rozpoczyna się 8 min. 20 sek. po rozpoczęciu audycji. i trwa ok. 10 minut.

RADIO LUBLIN

<https://www.radio.lublin.pl/news/nie-tylko-rozrywkowa-niedziela-radiowa-2786292>

RADIO PLUS

<https://radioplus.com.pl/kultura/milosc-sztuka-i-szalenstwo-we-wsoli-36215>

Kobietostan (2018)

W Dzień Kobiet zobaczyliśmy **słodko-gorzka, na przemian lekką i przejmującą opowieść** o pozycji kobiety we współczesnym świecie [...] uświadamiającą nam wszystkim boleśnie, że linii, za którą zaczyna się wykluczenie, nie wyznacza wcale mur więzienia, ekonomia czy poziom wykształcenia, ale wciąż, niestety, płęć.

Magdalena Piekarska,
Gazeta Wyborcza

"Kto nie widział, niech zobaczy koniecznie! [...] Każda kobieta i każdy mężczyzna powinien obejrzeć "Kobietostan. Chór na jedną aktorkę" i wyjątkową Agnieszkę Bresler. **To porządna lekcja życia, pięknie opowiedziana.**

Agnieszka Bresler jest świetna. Przez ponad godzinę snuje marzenia o porządku na świecie i opowiada kobiece historie oparte na faktach. **I przykuwa uwagę widza**, a to niełatwe zadanie.

[...] Dzień Kobiet wart jest tyle, na ile dzięki niemu świat zwróci uwagę na potrzeby i problemy kobiet. A Sala Laboratorium, gdzie pracował Jerzy Grotowski z zespołem, to świetne miejsce dla **młodego teatru, szukającego dla siebie formy, mającego wizję i realizującego zamierzenia z pasją**. A w dodatku profesjonalnie. Po premierze widziałam **prawdziwe wzruszenie publiczności, do oklasków na stojąco** [...] wstali wszyscy: i kobiety, i mężczyźni.

Małgorzata Matuszewska,
Gazeta Wrocławska, 6 kwietnia 2018

Bardzo udany [monodram], wykonany na trafnie wybranej nucie **czułości połączonej z ironią**, chwilami szyderstwem, ujmującej dzisiejsze doświadczenia kobiet. [...] Publiczność od razu wyczuwa **dwuznaczny ton spektaklu**, zaczynającego się wprawdzie pytaniem o solidarność kobiet, szybko jednak zaprzeczonym przez rozmówczynię. Nie o afirmację idzie.

Grzegorz Chojnowski
Radio Wrocław, 13 marca 2018

VULVA (2015)

Cztery kobiety i jeden mężczyzna. "Vulva"

Cztery bohaterki „Vulvy” w reżyserii Joanny Lewickiej są diametralnie różne. Marta (Katarzyna Tadeusz) to samotna matka, pragmatyczka, która w pogrzebie widzi przede wszystkim fakturę. Maria (Iga Załączna), czyli niespełniona pisarka, która mieszka kątem u matki, nieudane próby poetyckie topi w kieliszku. Jest i Aktorka (Angelika Kujawiak) - zupełne przeciwieństwo racjonalności - której nie przyjęli do szkoły teatralnej, bo była za chuda. I oczywiście żona, Asenefa, ta przy kuchennym stole rozpamiętuje swoje nieszczęśliwe życie. Z pozoru nic ich nie łączy. Poza jednym mężczyzną. Gdyby nie on, nigdy by się ze sobą nie spotkały.

[...] **Joanna Lewicka przyzwyczała nas do niekonwencjonalnych rozwiązań przestrzennych.** Tym razem cztery pomieszczenia - kuchnię, łazienkę, salon i sypialnię - rozmieściła w przeróżnych zakątkach Galerii Labirynt. **Dzięki temu widz staje się częścią teatralnej przestrzeni. Może siedzieć tyłem, przodem do aktorów, zmieniać miejsca, a pomieszczenia, których nie widzi, obserwuje na ekranie.** Tak zorganizowana przestrzeń **świetnie oddaje też relacje między bohaterkami „Vulvy”.** Każda zajmuje swoją część, nie wchodzi innej w drogę, a z drugiej strony czuje obecność pozostałych kobiet i wie, że nie jest tą jedyną w życiu Belzy. Bo to on oprowadza po kolejnych przestrzeniach spektaklu-instalacji. **Świetny w tej roli** Jarosław Tomica niby mimochodem, prawie niewidzialnie steruje wydarzeniami w przedstawieniu. Bez niego historia byłaby niepełna. **Jest kochankiem, duchem i przewodnikiem w jednym.** [...]

W scenie pogrzebu kumulują się wszystkie skrajne emocje. Śmiech pijanych kobiet, które nad zwłokami śpiewają „Niech żyje bal” i tańczą, szybko przechodzi w szloch. Scena w tym momencie należy jednak do Ilony Zgiet. Aktorka **w przejmujący sposób pokazuje, że można kochać i nienawidzić jednocześnie.** Z pewnością jest to najmocniejszy i **najbardziej zapadający w pamięć fragment spektaklu. Nie sposób się tu nie wzruszyć.**

Spektakl Lewickiej stawia odważne pytanie o istotę kobiecości. I tu wychodzi na jaw bolesna prawda - bohaterki czują się kobietami tylko w spojrzeniu mężczyzny. Samej tęsknoty i marzeń jest tu niewiele. Więcej natomiast można dowiedzieć się o relacjach damsko-damskich. Jako konkurentki do serca jednego mężczyzny nie lubią się, ale kiedy trzeba, potrafią współpracować.

[...] "Vulva" nie prezentuje całej prawdy o kobietach, bo tego nie dałoby się zawrzeć nawet w kilkugodzinnym przedstawieniu. Jest raczej opowieścią o ich reakcji na miłość. A raczej na jej brak. Pokazuje współczesne kobiety, ale nie te typowe, samodzielne, samotne z wyboru, które zmieniają bieg historii świata. Bohaterki „Vulvy” są zwyczajne, ale w tej zwykłości mają coś nieprzeciętnego i dzięki temu spektakl jest oryginalny. Zarówno pod względem formy jak i treści.

Cztery kobiety i fantom

“Zrealizowana w ramach projektu „Lublin jest kobietą” **Vulva Joanny Lewickiej to spektakl ideologicznie nieuwikłany, wolny od drastyczności i wyświechtanej krytyki patriarchalnego ładu. Za to bardzo kobiecy.** Mocny tytuł i znak graficzny (czarno-biały rysunek przedstawiający sylwetkę nagiej kobiety zjeżdżającej po ostrzu brzytwy) **zapowiada spektakl brutalny, może nawet zaangażowany w bieżącą obyczajowo-polityczną przepychankę.** Tymczasem przedstawienie zrealizowane przez Joannę Lewicką (...) pozostawia po sobie zupełnie inny ślad – **dotyka ono świata (a raczej światów) za pośrednictwem kobiecej wrażliwości, społeczne treści kryjąc za tym, co intymne.**

Twórcy przedstawienia zaanektowali niemal całą powierzchnię lubelskiej Galerii Labirynt, w skrajnych punktach umieścili cztery kobiece postaci i ich prywatne przestrzenie. Przy drzwiach widzów wita Jarosław Tomica w roli Bełzy – jedynej mężczyzny w spektaklu, przewodnika, komentatora, wokół którego ogniskują się uczucia czwórki kobiet. Po kolei prowadzi widzów do poszczególnych bohaterek, przedstawia je, mówi, jak je poznał i za co je kocha. W oczywisty sposób kojarzyć się może on z legendarnymi uwodzicielami, jak Don Juan czy Casanova, sama reżyserka przyznaje się do inspiracji **Osiem i pół Federica Felliniego. Tym samym Lewicka w prosty i czytelny sposób wprowadza nas w świat swoich postaci, zgrabnie charakteryzując je przy pomocy stroju i miejsc,** z którymi wydają się organicznie związane.

[...] **Lewicka pozwala widzom przyjmować dowolną perspektywę oglądania spektaklu. To, czego nie mogą obejrzeć, pokazuje w postaci projekcji wideo.** Zbliżając i oddalając perspektywę, dokonuje psychologicznej wiwisekcji swoich bohaterek. Jedynie Bełza nie zostaje jej poddany, nie znamy jego motywacji, mężczyzna nie przeżywa autentycznie, swoje uczucia deklaruje, skrywając się za tajemniczym uśmiechem. Jarosław Tomica, aktor o silnej i wyrazistej scenicznej osobowości, **został przez reżyserkę sprowadzony do swego rodzaju fantomu,** będącego wyłącznie katalizatorem zdarzeń – niemal nie gra, wita się z publicznością, wprowadza w świat czwórki kobiet, by później dyskretnie się wycofać.

[...] To jednak nie ta, w sumie nieco melodramatyczna, historia stanowi sedno tego spektaklu, wydaje się nawet, że to właśnie ona stanowi jego najsłabsze ogniwo. **Bardziej interesująca jest gra perspektywą, krzyżowanie przez Lewicką spojrzeń aktorów i widzów,** pozwalające na zbudowanie dużo ciekawszej narracji niż ta, która wynika z przytoczonej wyżej fabuły. Początkowo jej osią jest Bełza – to on organizuje i reżyseruje przestrzeń, zarówno tę dosłowną, sceniczną, jak i tę metaforyczną, w której żyją jego kobiety. Bełza-reżyser przypomina nieco Marcella Mastroianniego ze wspomnianego *Osiem i pół*, podobnie jak i tamten tworzy dzieło nie do końca udane i przemyślane, tyle tylko, że w przeciwieństwie do filmu Felliniego bohater *Vulvy* nie obnaża samego siebie, lecz te cztery kobiety, i korzystając (trochę wampirycznie) z ich wrażliwości, tworzy „spektakl”, zaspokajający jego własne ego. Dopiero śmierć mężczyzny pozwala na wyzwolenie tego, co w tych postaciach jest prawdziwe, pozwala zdemaskować kolejne „teatrzyki życia codziennego”, które sobie (raczej gorzej niż lepiej) skleciły.

Opisana wyżej postawa reżysera rodem z filmu Felliniego, szukającego nowego otwarcia, próbującego przełamać schematy, zarówno te narzucane z zewnątrz, jak i własne, **wyda się być bliska również samej Lewickiej**. Pracująca w Polsce i w Niemczech **reżyserka bardzo dobrze radzi sobie w przedsięwzięciach poruszających się na granicy teatru – co widać było chociażby w *Śnie nocy letniej* według Szekspira, zrealizowanym z udziałem więźniów z Aresztu Śledczego w Opolu Lubelskim, czy w prześmiewczym obrazku z życia lubelskiego prekariatu *Przygaszeni***. Przeżyj to sam, granym w niewielkiej galerii w jednym z mieszkań na Starym Mieście w Lublinie. Pracując nad *Vulwą* w ramach projektu „Lublin jest kobietą” (którego uczestniczki tworząc artystyczną instalację, sprawdzały, na sobie i odbiorcach, jak przebiegają granice pomiędzy tym, co publiczne i zewnętrzne, a tym, co intymne i prywatne), potrafiła zrobić spektakl ideologicznie niewikłany, wolny od drastyczności i **mocno już wyswiechtanej krytyki patriarchalnego ładu, za to bardzo kobiecy – w najlepszym tego słowa znaczeniu**.

Jarosław Cymerman
Pismo TEATR, nr 9 / 2015

Sen nocy letniej (2012)

Sny Zapalonych

Finał XVII Konfrontacji Teatralnych w Lublinie. Na tyłach centrum kultury „Chatka Żaka” stoi zaparkowany autokar z zaciemnionymi szybami. Za kilka godzin wsiądą do niego aktorzy. Wrócą do **Zakładu Karnego w Opolu Lubelskim**. Teraz, ubrani w szarozielonkawe kombinezony, siedzą w głębi sceny na sali estradowej w „Chatce”. Otaczają ich ściany z zakratowanymi drzwiami i więzienne prycze [...] . Czekają. Wszystkie wyjścia na widowni obstawione są przez barczystych klawiszy, każdy ma słuchawkę w uchu i krótkofalówkę w rękę. Każdy ma czujne i skupione spojrzenie. Premierowy pokaz *Snu nocy letniej* grupy Zapaleni.org opóźnia się – przybyło znacznie więcej widzów, niż się spodziewano. [...]

Dariusz Jeż – inicjator zdarzenia, założyciel grupy Zapaleni.org i były więzień – podobno postawił warunek dyrekcji zakładu w Opolu Lubelskim, że osadzeni muszą pokazywać publiczności efekt swojej kilkumiesięcznej pracy poza aresztem. Wystawianie spektaklu przez więźniów dla więźniów byłoby fatalnym pomysłem – nie tylko źle wpłynęłoby na ich mocno zhierarchizowane relacje, ale też służyłoby jedynie zakładowym koordynatorom, by wykazali się, że „aktywizują” osadzonych. Jeż uznał najwyraźniej, że **ten projekt może mieć sens tylko wówczas, gdy więźniowie zetkną się z ludźmi na wolności i, formułując dla nich komunikat na scenie, spróbują uczyć się na nowo ich języka**. Kiedy wyjdą na wolność, od jego znajomości może wiele zależeć.

Dla niektórych z nich próby w „Chatce Żaka” były pierwszą od lat okazją, by wyjść poza bramę aresztu. Joanna Lewicka, reżyserka *Snu nocy letniej*, opowiada, że podczas początkowych prób dużo czasu zajęło jej oduczenie aktorów charakterystycznych „przyruchów”, takich jak nerwowe upewnianie się, „czy nikt za mną nie stoi”. Lewicka podczas niemal codziennych ośmiogodzinnych spotkań urzędowała im prawdziwą musztrę. **W intensywności tej pracy i wymaganiach, jakie reżyserka stawiała swoim aktorom, nie było szczególnej różnicy między próbą w zakładzie i w profesjonalnym teatrze. Potraktowała ich poważnie, jak partnerów**, co w areszcie raczej nieczęsto im się zdarza. Wszyscy byli zdyscyplinowani i zaangażowani w proces powstawania spektaklu. Udało im się wypracować wspólny język. [...]

To Lewicka przyszła do nich z pomysłem *Snu nocy letniej*. U Szekspira pojawia się przecież sytuacja marzenia o lesie, a w nim niewiarygodny żywioł upojenia, erotycznych i miłosnych perypetii – to tęsknoty, które z pewnością doskwierają ludziom doświadczającym kompletnej izolacji. To także tekst, za pomocą którego więźniowie mogliby opowiedzieć siebie. W lubelskim spektaklu las „grają” więzienne kombinezony o paskudnym odcieniu zieleni. W sukni o zupełnie fantastycznym bajkowym kroju, ale wykonanej z tego samego materiału, występuje aktorka grająca Tytanię. **Te „sny na jawie” muszą się rozegrać w rzeczywistości znanej więźniom, a także z ich perspektywy.**

W spektaklu Zapalonych rzemieślnicy to posługujący się grypsera więźniowie, którzy prowadzą próby do sztuki o Piramie i Tyzbe, po to, by podczas pokazu dać nogę przez dziurę pod sceną. Ten **przewrotny i nawet nieco ryzykowny wątek** (podczas premiery na widowni siedzieli przedstawiciele służb więziennych) kończy się sceną, w której **osadzeni biorą towarzyszące im aktorki jako zakładniczki i odczytują listę realnych i absurdalnych żądań**. Znalazły się wśród nich między innymi: „widok na wolność, podwójny chleb na śniadanie, trzy razy w tygodniu zajęcia teatralne, odblokowanie stron pornograficznych, klamki do drzwi, codzienne wyjścia na siłownię i zmiana instruktorek na młodsze, kuwetki i żwirek dla kotów i lepszy pokarm dla rybek”. Kończąc odczyt, aktor opuszcza kartkę z żądaniami i mówi: **„A ostatnie żądanie to prośba, żebyście się po odsiedzeniu naszej kary tak na nas patrzyli, jak dzisiaj wieczorem”**.

Podczas przerwy na papierosa pytam jednego z aktorów, jak się czuje w pokoju, gdzie za niezakratowaną szybą jest prawdziwy las. Myśli chwilę i mówi, że nie ma słów na to uczucie. **„Nie do opisania”** – powtarza kilkakrotnie.

Problem języka w spektaklu Zapalonych okazał się sprawą fundamentalną. To Puk, grany przez młodą aktorkę, jest tu mediatorem między światem więźniów i widzów – ludzi na wolności. Puk tłumaczy widzom złożony język, którym posługuje się część bohaterów przedstawienia. Gwara więźniów, czyli grypsera, odnosi się do hermetycznego i silnie zhierarchizowanego świata aresztu. Nazywa przedmioty i codzienne sytuacje występujące w tym, niedostępnym dla większości, świecie. Ze względu na zamkniętą strukturę więziennych społeczności w każdym areszcie wytwarza się osobny zbiór grypserskich pojęć, które ewoluują tak dynamicznie, że stworzenie ich uniwersalnego słownika byłoby niemożliwe. **We Śnie nocy letniej Zapalonych, jak mało w którym teatrze, dochodzi do czegoś, o czym chyba – cytując fragment dialogu napisanego przez osadzonych – nawet Szekspirowi się nie śniło. To piękna próba osiągnięcia kontaktu, przeżycia wspólnoty języka, a przez to autentyczne spotkanie aktorów z widzami**.

W tym sensie pierwszy spektakl Zapalonych (w planach twórców są dalsze realizacje projektów z udziałem społecznie wykluczonych – m.in. niepełnosprawnych, chorych, bezdomnych) jest **wielkim sukcesem realizatorów – Lewickiej i Jeża** – ale przede wszystkim biorących w nim udział osadzonych. Są oni bezpretensjonalni: z lekkością i dowcipem, ale uczciwie i bez zbędnego dramatyzowania, mówią własnym językiem o swojej sytuacji.

Szymon Kazimierczak
Pismo TEATR, nr 3 / 13

Wszystkie wyróżnienia pochodzą od Zespołu Joanny Lewickiej.